

Ekonomia i polityka własności intelektualnej

Autor: **Mateusz Machaj**

W ostatnim czasie rozgorzała prawdziwa internetowa wojna o umowę międzynarodową dotyczącą ochrony własności intelektualnej. Bez większych problemów można było się zapoznać z druzgoczącą wręcz krytyką umowy ACTA. Jak wielokrotnie słyszeliśmy, to międzynarodowe porozumienie



zwiększa władzę państwową do poziomów ekstremalnych. Stanowi atak na realną własność i prywatność obywateli, umożliwia inwigilację, cenzurę, sprzyja większej samowoli aparatu sprawiedliwości, a do tego tworzy bariery dla rozwoju internetu, nakładając ogromne koszty na dostawców.

Co charakterystyczne w tym skomasowanym ataku przeprowadzonym przez wielu blogerów, nie sposób dostrzec sensownej obrony tego dokumentu. Po kilkugodzinnej lekturze różnych źródeł można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z jakimś horrendalnym potworkiem prawnym, który został przez kogoś przepchnięty z nadzieją na to, że nikt nie wniesie żadnego protestu. Gdyby nie istnienie samego internetu, umowa pewnie już dawno by obowiązywała. Gdyby...¹

Co więcej, przy okazji uchwalenia tego prawa mogliśmy zobaczyć, jak wygląda prawda o demokratycznym państwie prawa z parlamentem jako „ciałem ustawodawczym”. Niektórzy złoścą się na imperializm biurokratyczny Unii Europejskiej, wskazując na ogromną władzę Komisji i jednocześnie słabą władzę Parlamentu Europejskiego. Trudno jednak pokładać nadzieję w parlamentarystyce, skoro przy okazji uchwalania umowy ACTA mogliśmy się

¹ Mimo wszystko nie przeceniajmy tego dokumentu — obecne prawo w praktyce już daje nieograniczoną władzę. Wystarczy przypomnieć, jak zamknięto serwery Megaupload i sytuację gdy FBI (podkreślmy słowo „federalne” w nazwie tego biura) wydało instrukcję nowozelandzkiej policji, aby aresztować Niemca (i w dodatku przygotować go na ekstradycję do USA).

dowiedzieć, że parlamentarzyści w zasadzie nie wiedzą, co uchwalają i z czym mają do czynienia. Oni głosują — czy to ważne, za czym? Poseł prowadzący mówił, żeby podnieść rękę.

Uwidacznia się tu cecha charakterystyczna demokracji. Z jednej strony mamy jej bardzo ponure oblicze, czyli siłę grup interesu w uchwalaniu korzystnego prawa; z drugiej oblicze bardziej optymistyczne — możliwość wywarcia społecznej presji przy odpowiednio dużej sile przebiccia, aby dane prawo odrzucić.

Ekonomia własności i własności intelektualnej

Chciałbym jednak zwrócić uwagę na inny wątek, który nie został wystarczająco nagłośniony — na samą sprawę tak zwaną własności intelektualnej. W głównym nurcie dyskursu o ACTA jego przeciwnicy muszą się koncentrować na nadużyciach, do jakich będzie dochodzić w wyniku wprowadzenia tego dokumentu. Krytykujący często zapewniają, że nie są przeciwko własności intelektualnej, a przeciwko wprowadzaniu prawa, które będzie miało poważne skutki uboczne. Krótko mówiąc, nie kwestionuje się strzelania do muchy, lecz protestuje się przeciw strzelaniu do muchy z bazuki.

Tymczasem należałoby zadać pytanie, czym tak naprawdę jest „własność intelektualna” i co może nam o niej powiedzieć teoria ekonomii. Dodajmy, że owo pojęcie można rozumieć na bardzo różne sposoby. Wielu ludzi posługuje się potocznym rozumieniem tego terminu. Od strony prawnej własność intelektualna jest istotnym przywilejem, z ekonomicznego punktu widzenia czymś odmiennym od tradycyjnego prawa własności.

Własność to pojęcie prawne odnoszące się do rzeczywistości społeczno-gospodarczej, w której żyją ludzie. Zostało wymyślone po to, aby ludzie mogli egzystować w pokoju i szanować uniwersalne reguły dotyczące rzadkich zasobów. Tu w istocie tkwi źródło własności jako sposobu rozstrzygnięcia konfliktów — ze względu na to, że środki są rzadkie, wszystkie mają swoje koszty alternatywne i nie można ich wykorzystać do osiągnięcia wielu celów naraz. Trzeba wybierać, a prawo wyboru jest przyznawane „prawowitemu właścicielowi” (jakkolwiek by to system prawny rozstrzygał — czy socjalistycznie, czy socjaldemokratycznie, czy neoliberalnie, czy wolnorynkowo).

Na podstawie pojęcia własności ustala się również pojęcie jej naruszenia czy kradzieży. Ma to także związek z kosztami alternatywnymi i ekonomiczną rzadkością. Jeśli ktoś ukradnie komuś samochód, to ta osoba traci możliwość poruszania się nim. Z rzadkością fizyczną wiąże się ograniczoność potrzeb, które są możliwe do zaspokojenia. W danej chwili tylko jedna osoba może kierować samochodem, ponieważ jest rzadki.

Radykalnie inaczej wygląda sytuacja z ideami, pomysłami i podobnymi rzeczami, które nie są obiektami fizycznymi, lecz wynikiem twórczości ludzkiego umysłu. Z punktu widzenia świata zewnętrznego nie stanowią one rzadkiego obiektu, który może zostać wykorzystany w danej chwili tylko w jeden sposób. Można je wykorzystywać na wiele różnych sposobów w wielu różnych miejscach. Używanie ich przez jedną osobę w żaden sposób nie ogranicza w korzystaniu innych.

Z tego powodu własność intelektualna, bez względu na to, czy się jest jej zwolennikiem, czy przeciwnikiem, jest czymś zupełnie innym od własności tradycyjnej. Istota tej pierwszej wypływa z istnienia naturalnej rzadkości zasobów, która zmusza do ekonomizowania. Istota tej drugiej objawia się tym, że jest nierzadka, a każdy może z niej skorzystać. Dlatego w celu stworzenia własności intelektualnej prawo musi wytworzyć jej rzadkość (za pomocą narzędzi przymusu). Musi wprowadzić takie reguły postępowania, które pozwolą na wpływanie na autentycznie rzadkie przedmioty (komputery, mieszkania, kable internetowe *etc.*) i monitorowanie ich w szeroki sposób. Tak, by ograniczyć zdolność tych przedmiotów do zwalczania rzadkości sztucznie wyprodukowanej przez prawo.

Konieczność istnienia własności i konieczność wspierania produkcji intelektualnej

Jeśli historia cywilizacji mogłaby nas czegokolwiek nauczyć, to bez wątplenia tego, że społeczeństwa rozwijają się dzięki istnieniu i ochronie własności oraz dzięki wsparciu i rozwojowi produkcji intelektualnej. Obecna debata w sprawie ACTA dotyczy głównie zagadnień dyktatorskiego charakteru tej umowy. Na zapleczu czeka nas jednak bardziej fundamentalna debata na temat produkcji intelektualnej w ogóle — wszelkiej twórczości, zarówno naukowej, jak i

artystycznej. Cywilizacja jest zbudowana na produkcji intelektualnej i bez jej należytego wsparcia nie będzie się w stanie utrzymać.

Od samego początku istnienia kapitalizmu za dynamicznym wzrostem masowej produkcji i satysfakcji konsumentów stały innowacje przedsiębiorców. Twierdzenie, że obecnie żyjemy w „gospodarce opartej na wiedzy”, jest truizmem, ponieważ gospodarka od zawsze opierała się na wiedzy i umiejętnym wykorzystaniu dostępnych informacji. Zwiększyły się „jedynie” stopień wykorzystania wiedzy i konieczność nabywania niezbędnych umiejętności. Kiedyś większość pracowników nie umiała czytać ani pisać. Dzisiaj większość musi znać podstawy obsługi komputera. Innowacje i pomysły odgrywają natomiast coraz większą rolę w ekspansji przedsiębiorstw i tworzeniu nowych produktów. Dlatego produkcja intelektualna potrzebuje odpowiedniego finansowania, aby rozkwiąć i stać się podstawą rozwoju społeczeństw.

Zasadnicze pytanie, które należy sobie zadać, jest następujące: Jak z jasnego wniosku o tym, że trzeba wspierać produkcję intelektualną, przejść do kolejnego wniosku, że niezbędne jest istnienie prawnie gwarantowanej „własności intelektualnej” do tego, aby produkcja intelektualna uzyskała odpowiednie finansowe wsparcie? Tak działa argument utylitarny na rzecz istnienia „własności intelektualnej”.

Utylitaryzm własności intelektualnej

Wyłożona krok po kroku argumentacja mogłaby pokazać, że dobrze prosperująca produkcja intelektualna wymaga stworzenia prawa o własności intelektualnej. Istnieje jednak pewien podstawowy problem dotyczący tego sasquatcha — każdy o tym mówi, ale nikt tego nie widział. Nigdzie nie znajdziemy skrupulatnie przeprowadzonej argumentacji, która dowodziłaby niezbicie, że produkcja intelektualna sprzyjająca gospodarczej prosperity wymaga prawa o własności intelektualnej. Takiego dowodu nie ma. I nie będzie — z tego samego powodu, z jakiego Ludwig von Mises [dowiodł niemożliwości istnienia dobrze prosperującej gospodarki socjalistycznej](#).

Wyjaśnię. Aby stwierdzić, że własność intelektualna jest bardziej „opłacalna” dla społeczeństwa niż własność tradycyjna, niezbędna byłaby znajomość wszystkich „funkcji produkcji” dla rozmaitych produktów. Musielibyśmy dokładnie wiedzieć, jak można wyprodukować każdy towar. Jak

wiadomo, istnieje bardzo wiele rozmaitych sposobów i wszystkich nie znamy. Co więcej, aby rzeczowo przedstawić argument utylitarny, musimy również wiedzieć... to, czego *jeszcze nie wiemy*. Musimy bowiem rozważyć hipotetyczne funkcje produkcji, które pojawią się w wyniku nowych odkryć. To nie koniec. Następnie musimy zaprojektować dwa różne scenariusze: funkcje produkcji z nową wiedzą, chronioną własnością intelektualną (i specyficznym bodźcem finansowym), oraz funkcje produkcji z nową wiedzą niechronioną WI i funkcje z kolejną nową wiedzą, która pojawi się dzięki zwiększonemu spektrum wykorzystania (a zatem otwarcie możliwości nowego wykorzystania przy jednoczesnym braku tego specyficznego finansowego bodźca).

Krótko mówiąc, musielibyśmy stworzyć cały model przyszłej gospodarki (którego jeszcze nie znamy) i stworzyć model gospodarki kontrfaktycznej (tej nie znamy w ogóle), aby następnie zdołać przedstawić *tradeoff* możliwości swobodnego kopiowania pomysłów i prawnej ochrony własności intelektualnej. Dzięki temu znalibyśmy „krzywą możliwości produkcyjnych” i byłibyśmy w stanie stwierdzić, o ile i jak zmienia się nasza produkcja w zależności od alternatywnych porządków prawnych.

Jak pokazał Mises w swoim eseju z 1920 r., taki projekt nie jest możliwy. Jeśli ktoś twierdzi, że da się przedstawić taki argument, może również twierdzić, że możliwa jest skuteczna i prosperująca gospodarka socjalistyczna.

Wydaje się zatem, że znajdujemy się w beznadziejnej sytuacji. Na gruncie utylitaryzmu nie jesteśmy w stanie wykazać, że obrona własności intelektualnej przynosi poważne profity gospodarcze. Jednak ten sam problem mają przeciwnicy własności intelektualnej. Skoro nie można przeprowadzić rachunku, to samo odnosi się do opcji przeciwnej. Nie sposób dowieść, że dla gospodarki będzie lepiej, żeby własność intelektualna nie istniała. Dlaczego więc mamy wybierać taką, a nie inną opcję?

Utylitaryzm gospodarki rynkowej i przemysł raczkujący

Z perspektywy utylitarystycznej nie da się obronić braku prawa własności intelektualnej. Można jednak obrać inną drogę, która wynika z dalszego wnioskowania o niemożliwość socjalizmu. Przypomnijmy sobie odpowiedź na pytanie: Skoro w ramach socjalizmu nie da się skutecznie zaplanować

gospodarki, to jak to się dzieje, że przedsiębiorcy działający niezależnie od siebie mogą osiągnąć jakiś korzystny niezaplanowany ład?

Otóż wyższość gospodarki rynkowej nad socjalistyczną polega na tym, że dzięki istnieniu suwerennych ośrodków władania (praw własności) istnieją również konkurencyjne „interpretacje”. Nie ma jednej centralistycznej (ustalonej przez dyktatora, partię czy demokratyczne głosowanie) interpretacji wartościowania i zatrudnienia czynników produkcji. Przedsiębiorcy są prywatnymi właścicielami i konkurują ze sobą. Nie mają wspólnego zdania co do tego, jak wykorzystywać zasoby. Dzieli ich różnice w wartościowaniu i wizji odnośnie do tego, które potrzeby konsumenta są najważniejsze. Z powodu braku centralnego ośrodka władzy każdy z nich może (władając swoim kapitałem) przedstawić własną interpretację i poddać się ocenie „rynku”. „Rynek” stanowi sposób na rozstrzygnięcie, która z interpretacji jest najkorzystniejsza i najlepsza dla konsumentów.

Przedsiębiorcy są w swoich ocenach heterogeniczni. Nie mogliby się porozumieć i wykreować z jakiegoś mitycznego dialogu optymalnego rozwiązania dla wszystkich zasobów (abstrahując już od niewykonalności tego pomysłu). Argument za gospodarką rynkową jest zatem taki sam jak argument za konkurencją w wybranym sektorze. Dlaczego lepiej zgodzić się na swobodę dostarczania usług telekomunikacyjnych niż przyznać koncesję na ich produkcję tylko jednej firmie? Dlatego że w konkurencyjnym otoczeniu inni przedsiębiorcy są w stanie ekonomizować swoje przedsiębiorcze umiejętności. Mają inne twórcze pomysły na to, jak wycenić produkt, jak go pozycjonować, zapakować, zareklamować, z których rynków korzystać... Siłowe usunięcie tych przedsiębiorców z rynku prowadzi do tego, że ich umiejętności nie mogą zostać należycie zekonomizowane. Zostają przymusowo wyrugowane. Społeczeństwo niewątpliwie musi na tym stracić.

W taki sam sposób działa prawo o własności intelektualnej, ponieważ nie jest produktem swobody kontraktów, lecz wypływa z prawa stanowionego przez państwo. Przy własności intelektualnej mamy do czynienia z tylko jedną dopuszczalną interpretacją sposobu wykorzystania danej idei. Ogranicza to zdolności przedsiębiorcze wszystkich innych producentów, którzy mogliby z niej skorzystać. Można zripostować, że umożliwi to wykorzystanie tej idei na inne sposoby, ale będzie to riposta błędna. Własność intelektualna nie tworzy nowego

wykorzystania, lecz zmienia strukturę cen istniejących możliwości wykorzystania. Sprawia, że jedno wykorzystanie staje się droższe kosztem rozwiązania drugiego. Jedno jest droższe, drugie tańsze. Wpływa to na alokację, dystrybucję i dochody, ale nie zwiększa potencjalnych możliwości produkcyjnych. Dobitnie je zmniejsza i proponuje zwiększenie ich w przyszłości. Jak widzieliśmy, to obietnica bez pokrycia — obietnica niemożliwa do udowodnienia.

Ktoś mógłby twierdzić, że taka sama mnogość wizji i ekonomizacji mogłaby się pojawić przy zniesieniu własności w ogóle. Rzecz jasna jest to błąd, ponieważ znosząc własność do *rzadkich* zasobów, nie tworzy się większej możliwości ich wykorzystania (przeciwnie, znosząc własność, zmniejszamy możliwości wykorzystania, likwidujemy bowiem możliwość ochrony wartości kapitałowej, a więc możliwość przyszłego wykorzystania). Natomiast znosząc *wykreowaną* *rzadkość* wykorzystania idei, zwiększamy możliwość jej wykorzystania. I trafia ona na heterogeniczny grunt — tysiące różniących się między sobą przedsiębiorców, którzy nieustannie ze sobą konkurują.

Z tego powodu prawo o własności intelektualnej działa podobnie jak cła ochronne dla przemysłu raczkującego. Wprowadza wyłączność na produkowanie określonego typu towarów, co implikuje zwiększenie zysków. Zresztą tak w istocie działa patent — jest zdyskontowaną wartością przyszłych rent monopolistycznych osiągniętych z tytułu wyłączności na produkcję. Wszystkie argumenty dotyczące przemysłu raczkującego można wykorzystać na rzecz argumentów odnoszących się do konieczności istnienia patentów. Skutkiem tego jest tworzenie gospodarczego kokonu. Przemysł wcale nie zaczyna się dynamiczniej rozwijać, lecz zaczyna walczyć o zagospodarowanie nowej przestrzeni. Co więcej, tworzy się system beneficjentów, którzy uzależniają się od monopolistycznych zysków i zupełnie nie wykorzystują dominującej pozycji do tego, aby poprawić możliwości produkcyjne. Jeśli ktoś ma pozycję dominującą przy swobodzie wejścia na rynek, to musi wyprzedzać innowacjami swoich konkurentów. Jeśli ktoś ma pozycję dominującą z powodu braku swobody wejścia na rynek, to musi walczyć o utrzymanie braku swobody wejścia na rynek. Dlatego w przemyśle ciężkim chronionym przez cła tworzą się związki zawodowe, a w przemyśle własności intelektualnej związki korporacyjne. I jedno, i drugie są gorsze od związków partnerskich; również małżeńskich.

Jak uczy szkoła wyboru publicznego, polityzacja procesu produkcji nie przyniesie bardzo pozytywnych konsekwencji. Poskutkuje „pogonią za rentą”, monopolizacją i biurokratyzacją.

Nie ulega wątpliwości, że finansowanie produkcji intelektualnej jest potrzebne. Jak pokazuje wiele doświadczeń, takie finansowanie jest również możliwe bez konieczności korzystania z „własności intelektualnej”. Wiele firm finansuje i przeprowadza innowacje, mimo że [nie spodziewają się uzyskać z nich patentowych profitów](#).

Atomy kontra bity – kiedy technologia wyprzedza prawo

Obecna batalia dotyczy dużo bardziej złożonych zagadnień, ponieważ możliwość kopiowania idei i pomysłów osiągnęła rekordowe rozmiary. Ponadto siła nowego ładu będzie rosła eksponentalnie. Komputery stają się coraz mniejsze, coraz szybsze i coraz mniej ograniczone. Są w stanie wyprawiać prawdziwe cuda z wszystkimi bitami. Bitów nie da się jednak kontrolować. Nawet państwo nie jest w stanie tego zrobić. Jedynym sposobem, aby kontrolować to, co się dzieje z bitami, jest wprowadzenie drastycznych kontroli atomów, które je produkują.

Wiąże się to z głęboką kontrolą sfery prywatnej. Oznacza to dużo poważniejsze ingerowanie w autentycznie rzadkie zasoby zbudowane z atomów. Im sprawniej, szybciej komputery przetwarzają i żonglują bitami, tym trudniej będzie państwu kontrolować to, co robią; tym większą potrzebą stanie się zmierzanie w stronę chińskiej formy cenzury internetu oraz przemysłu komputerowego.

Jeśli ludzie będą w stanie pomieścić rekordowo sprawne komputery w opuszkach palców, to państwo będzie musiało monitorować i kontrolować nasze ręce, aby sprawnie egzekwować prawa własności intelektualnej. Technologia rzuciła prawu największe w historii ludzkości wyzwanie. Pod tym względem żyjemy w absolutnie bezprecedensowych i arcyciekawych czasach. I obecne prawo najprawdopodobniej przegra tę batalię — bity w przeciwieństwie do atomów można bez większych problemów kopiować. A maszyny i ciała kopiujące przypuszczalnie podniosą bunt przeciwko temu, aby je bez ograniczeń inwigilować.